Lwów 10. Lipca. Nr 81. Rok 1855.

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięczna 40 kr. m. k. W kraju z przesełką pocztową rocznie 8 Złr.— półrocznie 4Złr.—kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Zł. 20kr.

NOWINY

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr.. za na stęp. po 1½ kr. i zadopłatę 10 kr. stepl. zakażdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

UCZONY.

Obrazek fantastyczny,

przez

Jana Zachariasiewicza.

IX.

DWIE DROGI.

(Ciąg dalszy.)

W bocznym, kolorowaną lampą słabo oświetlonym pokoiku, usiadła na niskiej otomanie Kamila; naprzeciw niej na taboreciku zajął miejsce pan Idzi.

— Może to panią zabawi, co jej dzisiaj powiem...

— Dotąd z ust pana każde słowo było dla mnie niewymowną słodyczą.

— Każda róża ma ciernie!

— Ach to zbyt idylicznie! Zapewnie pan się gdzie rozkochał *à la bonne heure*! czy ładna! może spiewaczka?.

Kamila strzeliła tutaj błyskawicą modrego oka, a była piękna jak szatan, w ciele anioła. Zadrzał na ten grom kawaler, ale nie odniósł rany. Talizmanem przeciw temu były dwa tysiące w złocie holenderskiem.

— Nie pani, nie kocham się — bo na miłostki *pour passer le temps* już dla mnie za późno.

— A cóżto się stało — na miłość Boga! *cela m' etonne*...

— Oto najprzód, chciej pani być przekonana o szczerości moich uczuć, z których kiedykolwiek się przed nią spowiadałem, a chociaż one i dzisiaj nie są mniej silne, jednak silniejsze są przeszkody, których przełamać nie mogę...

Kamila spostrzegła, że głos pana Idziego co raz więcej słabnął, a w końcu nawet był drzący.

Tak też było w istocie. Widok i bliskość silnego charakteru dziewczyny, jej wdzięki pełne życia i potęgi, wreszcie jej głos silny wolą, a dzwięczny zburzonem uczuciem, wszystko to uderzyło na słabe stérane nerwy starego kawalera, że chwilę stał w odurzeniu. Widząc to Kamila pospieszyła z tego korzystać.

— O wiem ja co za cierń ubodł twoje szlachetne serce. Gniewasz się, żeś mię tu zastał, ale słuchaj mój drogi. Gdyś mnie uwiadomił bilecikiem, że nie przyjdziesz, myślałem, że mnie serce pęknie z żalu, bo właśnie oczekiwałam cię pewnie. Dostałam palpitacyi, a wiesz, że mi lekarze na tę słabość towarzystwo zalecają. Nie miałam wyboru, przyszłam tu, aby się tym różnobarwnym widokiem rozerwać... Patrz jak mi serce bije!...

— Była to niebezpieczna chwila dla pana Idziego; zachwiał się na chwilę, ale mamon zwyciężył. Stary kawaler był w tej chwili prawdziwie starym, i zdawało się, że miasto serca miał kawał lodu. Zimny jak lód był na wszystkie czułości swojej kochanki.

Widząc, że się pan Idzi na seryo usiłuje wycofać, zmieniła ton łagodny i tkliwy, a uderzyła o honor.

—Więc wszystko było dotąd kłamstwem, mój panie? owe uczucia słodkie, owa tęsknota, owe przysięgi... kłamałeś pan, uwodząc nieszczęśliwą dziewczynę, która teraz stała się ofiarą języków całej stolicy. Wszyscy mówią żem zaręczona, że lada chwila odbędzie się wesele, a teraz...

— To prawda, prawda — ba...

— Ba, na cóż było tak dalece się zapominać. jeżliś pan nie miał chęci... na cóż mnie było narażać na opinię....

— Wszystko dobrze, *mais mon amie*...

— Czy tak czynią ludzie honoru?.

— Zakończmy tę komedyę, przerwał zniecierpliwiony kawaler, a spodziewam się, że i pani z tego końca zadowoloną będziesz.

— Na przykład?.

— Pani nie masz majątku?.

— Któż to pana o tem zainforwał?. Czy nieznasz rozległych włości mego ojca na Karpatach, zamku i pysznego parku angielskiego?..

— Znam wszystko pani, i to, że ani jeden listek z tego ogrodu nie dostanie wam się w puściznie!.

— To oszczerstwo, to zawiść!... Z resztą muszę panu coś pod sekretem wyznać. Mój ojciec to wielki spekulant. Ma on ogromne kapitały w obrocie, ale interes jego wymaga, aby przed światem udawał bankruta.

— To wszystko być może,.. ale i ja pani to pod sekretem wyznam, że niemam majątku ani grosza.

— To co innego... rzekła przestraszona Kamila.

— Jeżeli pani jesteś pewną tych sum obrotowych, to moje położenie rzeczy niezmienia. Zostaję przy mojem słowie i proszę panią o rękę.

— To być nie może, nie... bo... prawdziwie...

— A jeżli nie, to rzecz skończona.

— A tak.. skończona, dodała przeciągłym głosem nieszczęśliwa narzeczona.

— I rozumie się, że to cośmy wzajem pod sekretem wyznali, zostanie sekretem!

— Zostanie, a nawet o to pana bardzo proszę.

— *Il faut eviter le scandale*.. Ale jakże zaspokoimy opinię publiczną?.

— Właśnie dostałam list z Galicyi, że mój ojciec chory. Więc wyjadę, a pan rozpowiesz, że ślub odłożony aż do skończenia żałoby.

— Więc ojciec pani już umarł?..

— Gdzie tam! ale może umrze, chociaż najgorszy sobie na to czas wybrał. Świat się dowie, żeśmy bankruci. Wolałby umrzeć przed pietnastu laty! gdy jeszcze nie wiele długów było! Ha cóż robić, trzeba zamknąć od wstydu oczy i pojechać, aby coś dla siebie uratować. Mam brata prawnika, gotów wszelkie ruchomości zagarnąć, bo też ci prawnicy są bez serca....

Kamila wymawiała te słowa machinalnie, patrząc przed siebie osłupiałym wzrokiem. Często przerywała je i szukała gdzieś wątka w najutajeńszej stronie swego serca czy głowy. Pan Idzi zaś był myślą w Dubnie, i targował się o posag prześlicznej Podolanki. Po chwili jednak ocknął się, a biorąc Kamilę pod ramię, wyszedł do salonu.

Zaledwie przekroczyli nasi kochankowie próg salonu, już kwitnął na ich twarzach taki wesoły i serdeczny uśmiech, jakżeby przepędzili z sobą najpiękniejszą życia chwilę.

Pan Idzi zbliżył się do Azyanina.

— Zazdroszczę wszystkim narzeczonym, ozwał się Azyanin, którzy mają prawo rozmawiać na osobności bez świadków.

Narzeczeni zaś, podjął pan Idzi, nieznają uczucia zazdrości, oddając swoje skarby pod opiekę ludzi-rycerzów!

I ze słodziutkim uśmiechem wysunął rękę z ręki Kamili i polecił ją towarzystwu majora. Tenże otworzył oczy na taką wspaniałomyślność swego szczęśliwego rywala, a widząc kokietujący uśmiech panny Kamili, szepnął jej z cicha:

— *Vraiment: nous sommes au bal masqué*!

Kamila odpowiedziała lekkiem skinieniem ręki.

Gdy tak panna Kamila na salonach pani Antoniny się bawiła i w duchu ruchomości pałacu i parku z chciwej ręki brata prawnika wydzierała, siedział Kazimierz w ubogim dworku nad Pełtwią zajęty pracą. Obok niego czytał coś Robert z dużej księgi i czasami coś z niej towarzyszowi opowiadał.

Jestto ten sam pokój czworoboczny, te same okna i te same meble, które widzieliśmy na początku naszej powieści. Nic się tam nie zmieniło, nic nie ubyło, nic nie przybyło. Nawet klawikord stał w tem samem miejscu, a chociaż przy dzisiejszych stosunkach Kazimierza był on zbytkiem, Robert jednak zatrzymał go, aby nieszczęśliwemu towarzyszowi nie dać uczuć zmianę jego losu.

Przecież zmieniło się coś w tym pokoju. Niebyło już widać owej linii demarkacyjnej, dzielącej go na dwa światy i światła. Jakaś miła harmonia panowała w atmosferze, a nawet różnica sprzętów nie była już tak widoczną. Widać, że w tym pokoju mieszka duch zgody, że mieszkańców nie różni żadna zasada ani opinia. A zgoda ta i harmonia była tem dziwniejszą, im niedawniejszą była różnica zewnętrzna, która nas w początku powieści tak mocno uderzyła. To jednak może nas tylko w tem przekonaniu utwierdzić, że harmonia i zgoda najczęściej zawisła od ducha, który nią włada.

Wielka bowiem była teraz harmonia między przyjaciołmi młodości. Robert zbliżył się więcej do Kazimierza, a odosobniony od świata i społeczności, w nim tylko widział zbiorowy obraz ludzi, i wtajemniczał go powoli w najciemniejsze komórki książkowej wiedzy i dziwacznej swojej logiki. Kazimierz zaś począł go coraz więcej rozumieć i pojmować, a chociaż nie jedno widział dziwnem i przesadzonem, wyraził to w sposób tak oględny, że uczony jurysta bynajmniej się tem nie zrażał. Od niejakiego bowiem czasu widział on w Kazimierzu jedyną krytykę prac swoich, które namiętnie trzymał w ukryciu. Według jego zdania nie był świat w stanie ocenić go należycie, a *„wielki nieznajomy"* utyskiwał na całe społeczeństwo, wzgardziwszy jego zwyczajami i tradycją. Z dumą arystokraty spotykał się z tym światem, który się litował nad biednym młodzieńcem, a najczęściej go wyśmiał. Świat ten bowiem widział tylko powierzchne jego strony, które nasz uczony zaniedbywał aż do prawdziwej śmieszności. A w serce swoje niepozwolił nikomu wglądać, skarby wiedzy swojej chował jak skąpiec, a jeźli kiedy co z nich na jaw wyszło, to wyszło w tak gorzkiej łupinie, jak orzech niedojrzały. Skrzywili się ludzie na taki owoc niespożyty, a moralną pracę uczonego odrzucono. Jeden tylko Kazimierz posiadał klucz do rozwiązania tych hieroglifów, a przyszedł do tego posiadania przez kilkunastoletnie koleżeństwo. Więcej zatem niżeli kto inny mógł go rozumieć i ocenić to, co na pochwałę zasługiwało, zaco też wypłacając się wdzięcznością, przywiązywał się z każdym dniem Robert do niego. Obaj przyjaciele pracowali teraz, a sama praca jednoczyła ich umysły i serca do najpiękniejszej harmonii.

Kazimierz przebolał chwilę tak nagłej zmiany, a rozpatrzywszy się w nowem swojem położeniu, począł się z niem oswajać. Z razu było mu w prawdzie czarno przed oczami, lecz gdy kilka chwil ubiegło, począł powoli rozeznawać jakieś nowe, nieznane dotąd przedmioty, jakieś dziwnie spokojne barwy, na które oko patrzyło z wielką przyjem-

nością. Był to nowy wcale mu nieznany świat pracy i życia czynnego. Spieczone jego skronie owiała miła, chłodząca atmosfera, a kilka drzewin zielonych nęciły chłodem w chwilach wypoczynku. Nie było tam wprawdzie owych wysilonych owoców południa, po których następuje niesmak i przeszyt, ale były za to zdrowe owoce rozkoszy umiarkowanej, orzeźwiające ciało i ducha do nowej pracy. A były to owoce własnej pracy, używano ich z rozkoszą bo na nie długi czas pracowano. Toż po takich owocach nie było przesytu ani niesmaku i niebyło też i ich skutków, chorób serca i ducha.

W taki to nowy świat wszedł Kazimierz, a że w nim wkrótce nie świecił, było to zasługą jego przyjaciela, który go wiódł za rękę, wskazywał ciernie i przepaście, goił odniesione rany, i póty nie odstąpił, póki go nie wyprowadził na obszerny, utarty gościniec. Jeszcze i tam towarzyszył podróżnemu, i nie jeden po drodze wskazał mu kwiatek, nie jedno wskazał mu źródło.

Gdyby Kazimierz po upadku fortuny dziedzicznej zwykłą poszedł był drogą, i u jakiego bogatego krewnego przytułku zażądał, byłby został, jak dotąd, próżniakiem, a mając jaką taką garderobę, bawiłby się w parku, jeździłby po wizytach w powozie krewnego, chodziłby na huczne polowania i zabawy, gdzieby tańczył, pił do upadłego, dysputował o wszystkim i o niczem, każdemu z sąsiadów *ty* mówił, a czasem nawet wyprawiałby małe awanturki. Wszystko to szło by wprawdzie na rachunek kuzyna, ale kochany kuzynek nie znając troski o swoje potrzeby, zapomniałby nawet, że jest sierotą i na łasce. Obudziłby się może dopiero z tej ułudy wtedy, gdyby za śmiało po jaki piękny posażek się kopnął, przy czem usłyszałby gorzkie słowo, że jest bankrut, że jest golec, że to, co się na nim błyszczy, jest jałmużną krewnego.

Wprawdzie nie zawsze następuje takie przebudzenie, a czasem uda się takiem bezczynnem i gnuśnem życiem przyjść do czegoś. Czasem może się to gnuśne i bezczynne życie komuś podobać, a uszczęśliwiony bankrut nie zaniedba odpłacić się za to zrujnowaniem całej powierzonej mu fortuny. Zdaje się wtedy, że przekleństwo i kara Boga i w dziesiąte sięga pokolenie...... Jedynym portem dla skołatanych taką burzą jest praca uczciwa a rzetelna.

(C. d. n.)

NIEKOCHAJ.

Niekochaj! bo miłość różą,
W pogodny patrzy świat:
Gdy losy burzę wywróżą,
Róża się zlęknie przed burzą,
I straci woń i kwiat.

Niekochaj! bo miłość jasną,
Przezroczą tworzy toń.
Póty jej czary niegasną,
Póki w niej widzisz twarz jasną,
Niepomarszczoną skroń.

Niekochaj! prawda, śnić miło...
A miłość pięknym snem;
Lecz gdy w najlepsze się śniło,
Jakże się zbudzić nie miło!
Pogodzić z dawnem złem!

Niekochaj! w zacisznej chacie,
Cichy też żywót twój:
W wiosennej ułudnej szacie,
Miłość, się jawi w twej chacie,
A z nią i trosek rój.

Niekochaj! zdrowe masz serce,
I czerstwą myśl i dłoń:
Myślą gódź braci w rozterce,
Sercem za dobre płać serce,
A dłonią kraju broń.

B. B.

JAK SIĘ U NAS ŻENIĄ.

Obrazek spółczesny.

I.

NA WĘGRACH.

(Ciąg dalszy)

Jeżeli co i myślała, nadto była praktyczna, by to długo trwać miało. Rzuciła pończochę na stołek, i wyszła do alkierza. Czytelnicy, przyzwyczajeni do naszych powieściowych bohaterek, pewni zapewne, że wszedłszy tam, zajrzała do lusterka, by poprawić kędzierżawe włosy. A broń Boże! ani jej to na myśl nie przyszło, chociaż posiadała w tym alkierzu rodzaj zwierciadła stojącego na stoliku, w papier oprawnego. Przeszła tylko przez alkierz i weszła do kuchni. W tej kuchni był na prawdę przypiecek ogromny, w którym najwygodniej dałoby się nie mało zamurować cwancygierów. Czy tam rzeczywiście były, powiedzieć nie umiem, to jednak pewna że panna Katarzyna, wszedłszy do kuchni zwróciła się do tego ogromnego przypieckowego kąta, i — oparła o mur!

Zapewne zamarzyła bohaterka! pomyśli nie jedna z czytelniczek sentymentalnych. Niestety! błąd to panie waszem niepraktycznem życiem nabyty. Węgierska drelicharka nie marzy — ona patrzy! Przez mur? — tak jest! Ona słucha! Przez ścianę? — tak jest moje panie. Wszak się to może trafić najromantyczniejszej dziewczynie, że ją

ciekawość przyprowadzi do patrzenia przez szparę, i podsłuchiwania przez ścianę, jeżeli za tą szparą i ścianą do pół tuzina konkurentów przybył nowy wielbiciel.

Owóż trzeba wiedzieć że pokój, w którym gościnny Węgier ulokował swoich gości, był zwykle pokojem jadalnym, przytykającym jedną ścianą o kuchnię. W tej murowanej ścianie był otwór bieloną deszczką zakryty, służący do prędszego podawania potraw z kuchni do jadalni. W tej cieniutkiej deszczce panna Katarzyna przy pierwszym transporcie zakarpackich miłośników cwancygierowych, w nocnej dobie prześwidrowała małą dziurkę, przez którą, jak przez teleskop oglądała swoich pretendentów, nie widziana przez nich. Przyznacie państwo, że jakkolwiek nie delikatny może, ale był to wcale nie zły koncept ze strony drelicharki, koncept nieromantyczny zapewne, ale wielce praktyczny. Owoż tym razem ani sie spodziewał pan Feliks, że piękne czarne oko, pełne życia i ognia, patrzy na niego ciekawie i śledzi każde jego poruszenie.

Gdyby był to wiedział, byłby zapewne twarz i oczy i uśmiech i całą postawę zastosował do tych tak ważnych dla niego oględzin. Byłby przybrał postać romantyczniejszą, byłby się udrapował w wyraz strzelisty, zaślepiający. Byłby przynajmniej nie skrzywił się tak nieznosnie na widok tylu niespodziewanych współzawodników.

Gdyby był to wiedział pan Feliks, byłby nie mało się ucieszył, osobliwie gdyby patrzał, jak pomału oko Węgierki przybierało coraz więcej żywego blasku, i niezwykłego wyrazu słodyczy. Mars na czole gładził się coraz więcej, a uśmiech na twarzy stawał się co raz powabniejszym. Pan Feliks swoją powierzchownością widocznie popodobał się pannie Katarzynie.

Gdyby był to wiedział pan Feliks, byłby przynajmniej nie odzywał się sam, i gęby pozamykał panu Józefowi i drugim znajomym swoim. Gdyby byli milczeli, kto wie coby się było stało!

O gdyby? ! — .... ja bym nie potrzebował mozolić się nad pisaniem dalszych części tej powieści, którąby się zaraz przy pierwszej części skończyła, z nie małem zadowoleniem pana Feliksa, mojem, i może cierpliwych czytelników!

Ale milczenie jest niestety trudniejsze od pięknej wymowy, a szczególnie u nas, których grzechem niemałym jest gadulstwo. Nie darmo to w Polszcze wymyślili przysłowie: «Plecie jak Piekarski na mękach.» Aleźbo Piekarski przynajmniej plótł mękami zmuszony, my zaś najczęściej pleciemy bez potrzeby, co nam ślina na język przyniesie, co wiemy, czego nie wiemy lub się tylko domyślamy, i czego nawet się nie domyślamy. W tej mierze możnaby bez przesady powiedzieć: że u nas każdy jest lepszy, niż go przedstawi jego własny język i języki jego przyjaciół znajomych i kolegów, nie mówimy już o językach nieprzyjaciół stronniczych. Grzechotnik jest kiep w porównaniu, z jadem, jaki miotają na siebie stronnictwa przeciwne.

I pomału mars na czole panny Katarzyny głębiej się wkopywał, wzrok stawał się ostrzejszym, uśmiech przybierał coraz więcej wyrazu szyderczo - rubasznego. Przy słowach pana Wincentego spoważniała twarz Węgierki. Bez gniewu już, bez szyderstwa weszła nazad do pierwszego pokoju.

— Ojcze! rzekła po węgiersku, skończ już z nimi; niech dziś jeszcze wszyscy wyjeżdżają.

— I niechcesz ich nawet widzieć?

— Niechcę.

— Czyż żadnego z nich nie wybierzesz?

— Żadnego.

— To sama szlachta! dobra i poczciwa szlachta, chociaż goła teraz.... Zastanów się.

— Nie chcę żadnego z nich — przerwała ojcu niecierpliwie, ja już zrobiłam wybór — dodała i młodszego Węgra energicznie uderzyła po ramieniu.

— Dobrześ zrobiła moja córko — odpowiedział ojciec zrywając się z miejsca swego. To nasz! — a jakie rachunki! on niezawodnie zrobi majątek.

Ty jesteś prawdziwą Madziarką! ozwał się młodszy z wyrazem dumnego zadowolenia, który prawdę by wyznać twarzy nie upiększył.

Wyszedł stary Węgier, została się sama para przyszłych małżonków. Kasia robiła ogromną pończochę. Młodszy Węgier zatapiał się dalej w te na przyszłość obiecujące rachunki.

Stary wszedł do swoich gości. Pan Feliks i pan Józef chcieli się jakoś dyplomatycznie znaleźć, a Szpakowski właśnie zaczął coś niezgrabnie kłamać, kiedy stary Węgier przerywając im, nie dał naszym przybyszom przyjść do słowa, ani też sam wdawał się w ulubione Węgrów oratorskie przybory. Wyrznął im prawdę sucho i węzłowato!

— Dajcie pokój tym cudzoziemskim nieszczerościom. *To nie po polsku i nie po węgiersku.* Kasia moja już wybrała sobie męża!

— A któż z nas będzie tym szczęśliwym? ozwał się Przemyślanin poprawiając szkiełko w niemiłosiernie skrzywionem oku.

— Żaden z was! Moja córka będzie żoną Węgra, jest sobie prostą drelicharką, i dla tego pójdzie również za prostego handlarza sukien. Jedno drugiego nie będzie się wstydziło, i dla tego — da Bóg — zgodnie ze sobą żyło. Wam panom zakarpackim dziękuję za odwiedziny, a jeżeli łaska proszę na wesele i na winobranie!

Na naszą pochwałę trzeba to powiedzieć, że jeżeli skorzy jesteśmy do zrobienia głupstwa, równie też prędko przyznajemy się do niego bez gniewu.

— Niech żyją państwo młodzi! zawołali wszyscy.

— *Elien!* odpowiedział Węgier.

Świeżo nalane szklanice wina duszkiem wychylili, starego Węgra serdecznie uściskali, i wszyscy chorem zaspiewali:

Węgier Polak dwa bratanki,
Jak do szabli, tak do szklanki,
Oba zuchy, oba żwawi,
Niech ich pan Bóg błogosławi!

Stary się rozpłakał.... wszyscy rozczulili..... kilka jeszcze bardiówek na drogę wysuszywszy, rozjechali się wesoło, zgodnie i z dobrą fantazyą.

A stary Węgier, wyprowadzając ich z ostatnim kieliszkiem na ganek, kiwnął za niemi głową, i ocierając łzę z oka, rzekł z cicha do siebie.

— Mój Boże! poczciwe to te Polaczyska, ale teremtete *lekkomyślni*!!

W najgorszym humorze jechał pan Felix.

Najmocniej rachował on na rezultat i najpiękniej marzył, a tu tak raptem rozstać się musiał z wypieszczonemi myślami o wzorowem gospodarstwie, o ogierach i holenderkach.

Przez dwie mile milczał uparcie. Głód rozwiązał mu usta:

— Diabelnie mi się jeść chce! zawołał.

— Jakto tobie? zapytał tym wykrzykiem zbudzony pan Józef; wszak zakochani ponoś mało co jadają.

— Przynajmniej byś nie kpił — odburknął Felix.

Dobry apetyt bowiem w dobrej czy złej dobie, należy także do zalet czysto polskich. Stanąwszy na popas, przy jedzeniu udobruchał się i rozruszał pan Felix i nowe zaczął robić projekta, w których iniciatywę brał Szpakowski.

— Będziemy jechali niedaleko Szczawnicy, rzekł, wstąpimy tam, zapewne zdybiemy pannę Julię Draniewską, której podobałeś się na owym kuligu, odnowisz znajomość.. wszak mówi przysłowie: »Od przybytku głowa nie boli“ — Zresztą zobaczymy co się da zrobić. Mam ja w zapasie inny jeszcze projekt.

— Zapewne! ale po 300.000 przyjść na 30.000 to fatalne, to myśl śmiertelna.

— Ha prawda! że też te *nule* w całym świecie tak wiele znaczą! Lecz cóż robić! Lepszy tyć, jak nic.

Tak gawędząc jechali dalej; coraz więcej zaczął się oswajać pan Felix z myślą: pożegnania się z cwancygierami zamurowanemi. Wstąpili do Szczawnicy. Tam zastali pannę Juliję Draniewską z matką; pan Felix odświeżył wprawdzie swą znajomość kuligową, lecz wstrzymał się tymczasem z oświadczeniem, bo chował jej 30,000 złr. na *najostateczniejszy* wypadek. Tymczasem nadszedł list od ojca, wzywający ko do powrotu, z przeczyny owej licytacyi materiałów dla żup i dróg przez pana Józefa tak dowcipnie wykoncepowanej.

Felunio wrócił do domu z długim nosem, ale fantazyą niezłą, a pułkownik nie tracąc rezonu powtarzał nieustannie:

— „Jakoś to będzie.“

Czy też sprawdzi się praktyczność przysłowia pana pułkownika? zobaczymy w dalszych tego obrazku częściach.

(C. d. n.)

OBRAZKI WIEJSKIE.

Jarmark.

Kiedy Bóg chce kogo ukarać, to mu albo rozum odejmie, albo go ożeni. Otóż i ja niegdyś na tę karę, musiałem się ekwipować, co to znaczy, w Galicyi i Lodomeryi każdy się domyśli. Ekwipunek zależy na tem, żeby mieć cztery konie, szory z mosiądzami lub pakfonami, karetę albo kocz ze szkłami, który na wsi landem nazywają, liberją w kamaszach z galonami, lub bez galonów, byle kapelusze były z kokardami, i byle z przodu i z tyłu było herbów co nie miara.

Mniejsza, że Epuzer nie ma majątku i ze bierze połowicę, która prócz miednicy srebrnej, pary dętych lichtarzy i puszek na róż i bielidło, prócz dozgonnej miłości i posłuszeństwa przy ołtarzu tylko zaprzysiężonego, nic mu w dom nie wniesie; ekwipaż być musi i basta!

Fraszka że Epuzer na 48 od sta pożyczy na ekwipunek pieniędzy, że po ślubie kocz i konie żydy zabierą, a czasem pan młody miodowe miesiące w kozie za długi musi odbywać, ekwipaż być musi, a znam takich co za nie w świecie by swojej córki nie wydali, jeśliby pan młody do kościoła czterma końmi z liberją w kapeluszach i przynajmniej w koczu nie zajechał.

Będąc niegdyś w podobnem położeniu, pojechałem na jarmark kupić cztery konie. Miasteczko, w którem jarmark się odbywał, było mi pamiętne od lat dziecinnych, bo nie raz tam z rodzicami bywałem. Świetne też to bywały wtedy jarmarki. Kupcy z najdalszych okolic kraju a nawet i z za granicy porozkładali swoje towary, a czworograniasty rynek otoczony przedsieniami przedstawiał jeden rząd różnobarwnych sklepów. Tu bławatne i sukienne, tam galanteryjne, tu włoch z pomarańczami i różnemi bakaliami, tam zegarmistrz, tam różownik, tam puszkarz i blacharz, tu rękawicznik i piernikarz, tam znowu siedlarz i tokarz swojemi wyrobami nęcili; słowem niebyło rzeczy, którejby na tych przedsieniach nie dostał. Środek rynku zastawiony był wozami z powrozami, sieciami, cebulą, solą i żelazem, a gdzie niegdzie widać było bryczki, powozy nowe i stare, ba nawet odwieczne karety na sprzedaż.

Każda sień, każda stajnia była przepełniona końmi, a goście nie mogąc się w mieście pomieścić, szukali schronienia po chałupach, szpiklerzach i stodołach mieszczan. Kilka traktyerni i cukierni, w których muzyki z Dembicy

i Kolbuszowy, albo też ładne arfinistki przegrywały, dostarczało wszelkich potrzeb do życia, czasem nawet zabłądziło jakie towarzystwo aktorów, kuglarzy lub skoczków na linie, a tak licha mieścina przybierała na czas jarmarku, barwę, gwar i życie miasta większego. Niedziw zatem że szlachta, która namiętnie lubi jarmarki, zjechawszy się licznie, mając dobrane towarzystwo, zabaw co nie miara, a do tego pić i jeść podostatkiem, często w jedną niedzielę przyjechawszy aż w drugą się rozjeżdzała, a jeśli nie co lepszego to przynajmniej fig do domu przywiezła, któremi żonę i dziatwę raczyła.

Do tych licznych zjazdów przyczyniało się niepomału, że ówczesny właściciel miasteczka lubo ojciec jedynastu dzieci prowadził dóm otwarty, a do jego pałacu stół ciągle zastawiony i uprzejmość gospodarstwa połowę gości jarmarcznych zwabiała. To też każden odjeżdzający z jarmarku unosił do domu miłe uczucie, jakie rodzi widok staropolskiej gościnności, choć właściciela każden taki jarmark wiele kosztował, koszta te wracały się wdwójnasób, bo czem liczniejsze były jarmarki, tem więcej czyniły dochodu miasteczku.

Takiemi tedy pamiętając owe jarmarki wybrałem się z domu, nie dbając, czem przez czas jarmarku żyć będę, ale jakżem to drogo opłacił! Wjechawszy do miasta oskoczony zostałem przez faktorów. Faktor u nas jest *malum vaporium*, bez którego się obejść trudno, a szlachcic polski chociaż w Galicyi i Lodomeryi urodzony nieodrodził się od swych braci i z mlekiem wyssawszy słabość do żydowskiego plemienia, dziś, w tych czasach kosmo-politycznych, jeszcze bardziej przylgnął do żydów. Nie trudno spotkać takich, co sami nie mając swojego zdania a przytem niedbając o opinię, oddali ster swoich interesów i postępków faktorom, nietroszcząc się bynajmniej, czy ów sternik do czystej wody, czy też do kału i błota przybije.

Dla tego też u nas jest mnóstwo faktorów. Jedni pospolici, drudzy genialni, pierwsi zadowolniają się prostem szacherstwem i zarobkiem, drudzy gotowi na wszystko wciskają się w stosunki domowe, a nawet i rodzinne, a kto był tyle nierozsądnym, że się im oddał w opiekę, często straci spokojność, majątek, a w końcu dobre imię.

— Ja mam wygodną stancyą i stajnię, mówił jeden.

— U Ferlegerki proszę Pana, tam wszyscy Panowie stoją; wołał za mną drugi.

— Gaj weg die Szeigetz! Ja jestem stary faktor; ja Wielmożnego Pana znam jeszcze jak tu z Mamunią przyjeżdżał.

Rozczulony wspomnieniem rodzinnem spytałem faktora Mamuni, gdzieby była stancya i traktyernia, bo głodny byłem nie żartem, i faktor zawiózł mnie gdzie miałem mieć stancyą i dostać posiłku.

Mój służący rozpakowywał rzeczy, a ja tymczasem poszedłem do owej traktyerni i kazałem sobie dać rosołu. Podano go z wszelką uprzejmością i pospiechem. Ale co to było do dzisiaj niewiem, zdaje się jednak, że traktyerniczka umyła rądle, ręce lub coś podobnego i tym spłuczynóm nadała nazwę rosołu. Niemogąc połknąć ani jednej łyżki zażądałem mięsa.

— Mięsa niema.

— A gdzież się podziało z tego rosołu?

— Proszę pana, pani sznycle z niego zrobiła, odrzekła stara kelnerka.

Zjadł pies psa, jak barana nie było, kazałem sobie dać tego sznycla i byłbym może przynaglony głodem go spożył, gdyby nie to, że w tej sali jadalnej stało łóżko z pierzynami, a z tego łóżka i z pod tych pierzyn zaczął podnosić się siedemdziesiątletni starzec, któren na suchoty i starość chorując właśnie wtedy uczuł potrzebę wstać z łóżka i do tego wstania wszelkie czynił przybory. Nie dziw zatem, że odstąpiłem sznycla i z filozoficzną racyą poszedłem na miasto, a dla lepszego komfortu wykłuwałem zęby, jakby po najlepszym obiedzie.

Przeszedłem rynek niegdyś tak uludniony, a dziś nie było śladu, że się jarmark odbywał. Owe przedmieścia zupełnie puste, kupca ani jednego sklepu nie widać, co najgorsza, że nawet fig i dakteli nie było, któremi mój pusty żołędek naładować chciałem.

W stajniach było wiele koni, ale ja nie znając się na wadach i przymiotach koni, w kupno zachodzić niechciałem bez porady jakiegoś łaskawego znawcy; poszedłem zatem zwiedzieć pałac, w którym w dziecinnych latach tyle chwil miłych przebyłem, ale jakżem się zmartwił gdym go teraz ujrzał!

Pałac ten fundacyj Ligenzów, starożytnej rodziny, która już teraz zupełnie wygasła, przeszedł zda mi się przez ożenienie w posiadanie Książąt Lubomirskich. Po odsieczy Wiednia Marszałek Lubomirski jeńcami z tamtąd przyprowadzonymi pałac ten odnowił, i w smaku włoskim urządził. Dziś pałac ten będąc w innych właścicieli posiadaniu zamieniony w kupę grózów, jedną tylko cząstką przypomina dawną swoją świetnosć. Owe pawilony i galerie dziś już nie istnieją; rozebrano je i przedano, a choć mury tak silne opierały się jak mogły temu wandalizmowi, przecież taniość nabytku i chciwość żydowska opór ten przezwyciężyły, i mury aż do piwnic rozebrane zostały. Obchodziłem ze smutkiem tę ruinę jeszcze jedną do tylu ruin w naszym kraju przybyłą; prawda że jej przyczyną był pożar w roku 1846, jednak trochę tylko lepszych chęci i poszanowania dla pamiątek narodowych, a można było ten pałac od tak ohydnego upadku ochronić. Wszakże i w Baranowie daleko większy zamek tego losu doznał, lecz ten dzięki staraniom właścicieli dzisiaj pokryty urąga dumnie czasowi i złości ludzkiej, która go w perzynę obrocić chciała. Zdanie to moje zapewne i ktoś inny podziela, bo na odłamką muru wyczytałem następujące wiersze:

„Runąłeś, a twe gruzy niezaginą marnie,
„Bo choć z tobą upadnie pomnik narodowy,
„Chciwość resztę wartości twej z chęcią zagarnie.
„I powstaniesz z popiołów jakby Feniks nowy.
„Ale już w innej szacie i w innej postaci,
„I choć Turcy się twoją nie zajmą budową,
„Znajdzie się skrętny żydek, co dobrze zapłaci,
„I z tych murów postawi kassę podatkową,
„I bożnicę i kuczki, i na wódkę składy.
„Mniejsza że się nas wstydzą gdzieś w grobie pradziady;
„Lepiej o nich zapomnąć jak mieć mniej dochodu!"

Przepisawszy sobie te wiersze wracałem do miasta, gdy w tem ktoś na mnie zawołał:

— Jak się masz Dezyderciu kochany! A jakaż to radość że ciebie spotykam! I złapawszy mnie w oba ramiona jak w kleszcze, o mało mnie nie udusił. Był to pan Aleksy. Znałem go wprawdzie od dawna, ale mnie zadziwiło te nadzwyczajne wylanie przyjaźni, ktorej dotąd między nami nie było. Odrzekłszy jak mogłem na te gorące przywitania, musiałem jeszcze jako dowód ściślejszego sojuszu przyjąć cygaro wprawdzie grajcarkowe, bo pan Aleksy należał do ludzi oszczędnych.

— Coż cię tu sprowadza? Zapewne potrzebujesz koni, bo słyszałem że się żenisz.

— Ach tak jest, odpowiedziałem: ale sobie z tem poradzić nie mogę, bo się zupełnie nie znam na koniach.

— To dziękuj Bogu żeś się ze mną spotkał, już ja ci je wynajdę; wszak wiesz że się znam na tem.

Poszliśmy zatem po stajniach; oglądaliśmy różne konie których było wiele, ale cóż kiedy pan Aleksy wszędzie jakieś *ale* znalazł. Tu pipaki, tam opoje, tu ciężkie ucho, tam łeb mały, tu ogon bez odsady, tam bok niezamknięty; koniec końcem według jego zdania nie było nic coby kupić można. Po dwugodzinnym takim przeglądzie rzekł wreszcie pan Aleksy:

— Słuchaj mój kochany, ja się także żenię, i mam już czwórkę kapitalną, to ci ją odstąpię, a sam jeszcze mam czas, to innej dostanę.

— Ale jakże możesz dla mnie pozbywać się już sprzężonej czwórki? Coby na to twoja pani powiedziała!

— No już ty się o to nie frasuj; dla przyjaźni przecież coś trzeba uczynić; a potem moja narzeczona jest-to sobie ciele, o które nie troszczę się wiele. Robię dobry interes; biorę wieś bez długów i zagospodarowaną. Gracika powiadam ci nie kupię, a co tam nawozu! Najmniej sto korcy oziminy na nim zasieję: No choćmy zobaczyć kasztanki. — (c. d. n.)

Rozmaitość.

Z Krakowa. Wspomnienie pośmiertne: *Michałowski Piotr, Rzesiński Jan Kanty Hieronim Stefan. — Anczyc Zygmunt.*

Odbieraliście potąd opowiadania o zabawach, teatrach, i wystawach, jednostajną tę pogadankę przerwało raz tylko skreślenie zasług literackich zmarłego niedawno Hilarego Meciszewskiego.. Na dzisiaj wypada podobnież zająć was myślą poważniejszą, podaniem wzmianki o osobach zgasłych w tym miesiącu w Krakowie, a które oddane różnym zawodom, różne położyły zasługi dla miasta i kraju.

Michałowski Piotr wiodący ród z familji zasługującej się od dawna miastu naszemu, zmarł w dniu 9. Czerwca r. b. we wsi swej Krzysztoforzycach pod Krakowem. — Urodzony r. 1801 w Krakowie i tu wychowany, odznaczył się szybko świetnemi przymiotami umysłu, i jużto jako lingwista, jako malarz koni i scen charakterystycznych, jużto jako dyrektor górnictwa w król. Pols. przed i po r. 1830, już to jako naczelnik Rady Administracyjnej w Krakowie w latach ostatnich, dowiódł niepospolitych zdolności wynoszących go nad cały hufiec pośrednich talentów. — Talent jego rzutny a samodzielny, ogarniał bystro i przenikliwie wszystko, cokolwiek obrał sobie za przedmiot pracy i powołania. Założenie, rozwój i utrzymanie własnym funduszem zakładu ochrony chłopców zaniedbanych świadczy o sercu jego i szlachetności uczuć najdobitniej. Jako malarz, zjednał sobie sławę europejską.

Rzesiński Jan Kanty Hieronim Stefan urodził się 1803 r. w Galicyi, był synem ubogiego muzyka. Własną pracą i mozołem dobił się téj nauki, która go opromieniała i tej cześci, której mu nie odmawiano. — Od roku 1822. będąc adjunktem przy bibliotece Uniwer. Jagiel. wykładał jako priwatdocent, jako zastępca profesora i jako profesor, kolejno to bibliografią, to filozofią, to prawo.

W r. 1848. mianowany profesorem Uniwersytetu, wykładał przez lat siedm kolejno, prawo karne, filozfią prawa, prawo polskie i francuskie, do których wszystkich przedmiotów pozostawił rozległe rękopisma świadczące o głębokich studyach jego i obszernej wiedzy w każdej gałęzi umiejętności prawa.

Przez śmierć więc Rzesińskiego, nastąpioną w dniu 26. Czerw. r. b. po jednomiesięcznej bolesnej chorobie, ponieśliśmy stratę niepowetowaną. — Nietylko bowiem jako literat, jako profesor, ale nawet jako adwokat odznaczał się prawością charakteru nieposzlakowaną i uczuciami, jakiemi każden pałać powinien.

Jako adwokat nie przyjmował spraw układanych i podawanych przez tak zwanych pokątnych pisarzy, któremi tu są niemal wyłącznie starozakonni. Dla tego przez ten wyjątkowy sposób postępowania odróżniając się od innych obrońców, nieprzypuszczał do siebie żadnych pisarzy pokątnych, a tym sposobem unikał o ile możności obrony spraw pieniackich, niesłusznych, zostających w ręku tej plagi, którą pisarzami pokątnemi zowiemy.

W r. 1826. został doktorem filozofii napisawszy rozprawę: De Justino Trogi Pompei epitomatore, w 8ce str. 76. — W r. 1828. jako doktor prawa wydrukował dziełko: De usuris secundum jus romanum. Następnie został członkiem Towarzystwa Naukowego Krakowskiego.

Nie będziemy się wdawać w szczegóły biograficzne, bo to przechodzi granicę korespondencyi. Dość gdy skreślimy zasługi Rzesińskiego położone w dziedzinie pismiennictwa. Będąc jeszcze kilkonastoletnim młodzieńcem, rozpoczął zawód swój literacki od tego, od czego zaczynają wszystkie tak maluczkie jak i wielkie talenta, talenciki a nawet mierności, to jest od pisania wierszy. Z tych niektóre drukował w Pszczółce Krakowskiej od roku 1820. do 1822.

Znajdujemy tam i przekłady z łacińskich poezyi *Andrzeja Krzyckiego* i *Janickiego*, jako też oryginalne utwory: *dumy*: o Zawiszy Czarnym, o Generale Wodzickim poległym r. 1794.; na ruiny zamku

Tenczyńskiego, na zwaliskach Chrobrza; *wiersze z powieści ludu:* Morgal i Skawa, Olfrom i Nida; *ustępy z poematu:* Groby królów i bohaterów polskich spoczywających w świątyni na Wawelu w Krakowie, grób Krakusa, grób Wandy — *Bajka:* mucha i pszczoła, *tryolet* o miłości — Wiersz Do... przesyłając wazonki z kwiatem nazwanym Fuchsia Jagellonica — Psalm 136 i t. d. (D. n.)

* Najdostojniejszy arcyksiąże Karol Ludwik powrócił w sobotę ze Stryja, dokąd wyjeżdżał na spotkanie Najjaśniejszego Pana.

* Jego Excellencja hr. Namiestnik powrócił w niedzielę wieczorem z Przemyśla, dokąd towarzyszył Najjaśniejszemu Panu przez całą podróż Jego Cesarskiej Mości. Najjaśniejszy Pan zaraz po śniadaniu puścił się z Przemyśla w dalszą podróż do Krakowa, nie zatrzymując się już nigdzie.

* W przeszłą niedzielę jako w dzień bł. Jana z Dukli, odbyło się w kościele OO. Bernardynów solenne nabożeństwo. Z rana celebrował X. kanonik i kustosz Jasiński, a X. Henryk Pertak, senior wikaryuszów miał kazanie. Popołudniu odbyły się nieszpory z processyją, którym przewodniczył JWny. X. biskup Gutkowski; a X. Janek proboszcz od Panny Maryi miał kazanie. Przy rannej mszy odegranej pod dyrekcyą p. Frodla (nie Frojdla,) wyszczególnili się p. Biegl tenorzysta i p. Göbelt wiolonceliста.

* Przybył do Lwowa tenorzysta Barach, który w naszym mieście rozpoczął swój zawód przed laty 10ma, a później przeszło lat pięć przepędził po teatrach w Brünie, Salcburgu, Lincu i t. d. i czas nawet jakiś gościł w Mnichowie i Lipsku. Ma on wystąpić w *Lucia z Lammermoru, Żydówce Haleviego, Proroku i Hugenotach.*

* Zwracamy uwagę na *katalog dzieł agronomicznych*, przyłączony do tego numeru, który daje wyobrażenie o znacznem u nas postępie naukowym w tym względzie, i ułatwi poszukiwanie dzieł podręcznych w tej tak ważnej u nas gałęzi umiejętności, których do tychczas szukać było potrzeba po rozmaitych ogółowych katalogach.

Przyjechali od dnia 6. do 8. Lipca do Lwowa.

PP. Zatorski Tadeusz z Załusza. Gumowski Wiktor z Bereżnik. Laskowski Wincenty z Zagórza. Czerkawski Juliusz z Glińska Czacki Alex. hr. z Krechowa. Humnicki Władysław z Brodów.

Manasterski Józef z Błazowa. Winnicki Hipolit z Tarnopola. Gumowski Wiktor z Bereżnik.

Wysocki Karol z Rudek. Bartmański Józef z Tadania. Sokołowski Konstanty z Ulicka. Gumowscy Wiktor i Hieronim z Bereżnik.

Wyjechali od dnia 6. do 8. Lipca ze Lwowa.

Karnicki Felix hr. z Rogużna. Borowski Mateusz z Rogużna. Dobek Konstanty z Sarnik. Jabłonowski Józef z Dołhego. Kadłubowski Adam z Tetewczyc. Rulikowski Johann z Uhrynowa.

Romaszkan Michał z Wiednia. Miączyński Jan z Krakowa. Batowski Alexander z Lubienia. Czajkowski Robert z Lubienia. Gumowski Wiktor z Bereżnik. Krajewski Mikołaj z Turzego.

Szymanowski Franciszek z Spasowa. Wiktor Jakób z Buska. Załuski Franciszek z Zameczka. Cewiński Franciszek z Delejowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 8. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	124	Pożyczka 5% — —	$78\frac{5}{8}$
Hamburg za 100 tal. banco	$90\frac{5}{8}$	Akcye banku	987
Londyn za 1 funt szterl.,	12	Kolej północna	2080
Medyolan za 300 lirów	123	Obl. ind.	$69\frac{3}{4}$
Paryż za 300 franków .	$144\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loteryą	$101\frac{3}{16}$
Agio duk. ces. . . .	$28\frac{5}{8}$	Pożyczka narodowa . .	$83\frac{7}{16}$

Kurs Lwowski

Wczorajszy	Gotówka		towarem	
	złr.	kr.	złr.	kr
Dukat holenderski	5	42	5	45
Dukat cesarski	5	45	5	48
Półimperyał zł. rosyjski	9	50	9	53
Rubel srebrny rosyjski	1	55	1	56
Talar pruski	1	49	1	51
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	1	23	1	24
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	93	20	93	45
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu	70	—	70	30
5 proc. pożyczka narodowa	83	15	84	—

Z Czerniowiec, nadesłane 24. Czerwca 1855.

Ulubiona artystka i pierwsza spiewaczka teatru Warszawskiego pani Ludwika Rywacka dała w tem mieście dwa koncerta 30go maja i 8go czerwca. Spiew tej znakomitej artystki zachwycił wszystkich słuchaczy. Dla tego też po każdem spiewie była kilkakrotnie przywołaną, a w końcu drugiego koncertu, obsypaną była bukietam i kwiatami od znakomitych dam miasta Czerniowiec.

Józef Rowiński,
(130 3—3) Nauczyciel muzyki w Czerniowcach.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**